



Jan Ustrzycki.

NIETZSCHEGO „ECCE HOMO“¹⁾.

Aby rzucić „nieco światła i przerażenia na swą osobę“ pisał Nietzsche tę książkę — i rzeczywiście stajemy przed nią, jak przed snopem światła, ale gęsto przetykanym ciemnymi plamami widm i mroku.

Takiej autobiografii jeszcze nie było. Znamy spowiedzi, dna duszy sięgające, św. Augustyna, Russa; każda działa przedewszystkiem głęboką szczerością; spowiedź Nietzschego jest rękawicą z największym, jaki sobie można wyobrazić, impetem — rzuconą światu, fajerwerkiem cudownych myśli i gryzącego, ciemnego dymu — apoteozą samego siebie, dochodzącą do szału cesarów, wywołująca jednak chwilami wrażenie: kto tak pisał, miał prawo do apoteozy.

Rozpoczął Nietzsche to dzieło 15 października 1888, ukończył je 4 listopada: z początkiem stycznia 1889 atak strasznej choroby zwałił go z nóg na ulicy Turynu. W niespełna trzy tygodnie, jak lawa wrząca, wylała się z niego ta spowiedź — nasuwa się najprostszą myśl, że jest ona już dziełem obłądu, że jak rozmaici Nordaunowie chcą: najwyższy to tylko wyraz obłąkania, które dyktowało całą Nietzschego twórczość.

I sama treść podejrzanie to nasuwa.

Szał wielkości przebija z każdej strony. Tytuły rozdziałów brzmią: Dlaczego jestem tak mądry? — Dlaczego jestem tak rozumny? — Dlaczego tak dobre piszę książki? — Dlaczego jestem przeznaczony? Na każde „dlaczego“ następuje odpowiedź, będąca dytyrambem na cześć samego siebie, jako najwyższego

¹⁾ Polskiej edycji dzieł Fryderyka Nietzschego suplement. *Ecce homo* Jak się staje — kim się jest. W przekładzie Leopolda Staffa. Warszawa. Nakład Jakóba Mortkowicza. Księgarnia G. Centnerszvera i Sp.

w świecie duchów. O Zarathustrze mówi (str. 93): „Może wogóle nie stworzono nic nigdy z podobnego nadmiaru siły. Może pojęcie dyonizyjskości stało się tu najwyższym czynem; w porównaniu z niem cała reszta ludzkiej działalności wydaje się uboga i warunkowa. Że taki Goethe, Szekspir ani przez chwilę nie umiałby oddychać wśród tej niezmiernej namiętności i wyżyny, że Dante wobec Zarathustry jest tylko wyznawcą, a nie kimś, kto prawdę tworzy, duchem rządzącym światem, przeznaczeniem, że poeci Wedy to kapłani i nawet nie godni rozwiązać rzemyka u obuwia Zarathustry, to rzecz najmniejsza“... Jeden to z słabszych wyrazów samo-apoteozy, jaką prawie na każdej stronie spotykamy. „Znam swój los — pisze na innym miejscu (str. 114). — Kiedyś przyłgnie do imienia mego wspomnienie czegoś potwornego, — przesilenia, jakiego zgoła nie było na ziemi, najgłębszego starcia się sumień, rozstrzygnięcia, wywołanego przeciw wszystkiemu, w co dotąd wierzone, czego żądano, co uświęcono. Jam zgoła nie człowiek, jam dynamit“. „Jestem zgoła najstraszniejszym człowiekiem, jaki dotąd istniał“...

Tak jest, przerażenie wieje od tych słów, mrowie, jakie mimowoli przechodzi, skoro się znajdujemy obok obłąkanego.

A jednak — czy istotnie Lombroso miałby słusność?

Trzeba wżyć się w cały ówczesny świat Nietzscheański, z którego „Ecce homo“ wyszedł. Przerażenie Nietzsche chciał się światu. Było mu ono potrzebne. Lat kilkanaście pracował z taką intensywnością umysłową, do jakiej niewielu ludzi się wzniosło, pociski, błyskawice rzucał w świat, a był nieznan, niesłyszany. Zarathustra był pisany istotnie „dla nikogo“. Recenzje współzawodniczyły ze sobą pod względem tępości. Jeden jedyny Jerzy Brandes poznał się na Nietzschem i wygłaszał o nim prelekcje — ojczyzna junkrów i płaskich wolnomyslicieli miała dusze zalane piwem i mądrościami oficjalnymi. Nietzsche chciał wstrząsnąć. Tembardziej, że w usposobieniu był niezwykłym. Ukończył był właśnie czterdziesty czwarty rok życia — i był wdzięczny swemu życiu, które mu dało niezliczone męki, ale i potężne zwycięstwa w krainie ducha i w krainie wymarzonej przyszłości. Chodził po świecie w ekstazie, owej jesieni złotej, najpiękniejszej, jaką kiedykolwiek przeżył! W błogim usposobieniu rozigrały się w nim wszystkie chochliki. Złośliwość — ten warunek, jakiego on żąda od filozofa dyonizyjskiego, złośliwość ta świadomej siebie wyższości, wydobywającej swymi uderzeniami na bliźnich ukryte w nich skarby,

niemały ona ma udział w owym tonie ostatniej księgi; rozmyślnie śmiał się złośliwy chochlik, przejaskrawiał, igrał i naigrawał się.

Tak jest. Igrał on — ale i choroba nim igrała.

Nie w owych aktach samouwielbienia widać jej ślady, ale w mnóstwie rzeczy ubocznych, do których Zarathustra nie byłby zdolny. Mnóstwo tu zwrotów i ustępów, niegodnych jego dostojności. Chichocze często, zamiast śmiać się; bywa cynicznym — nie wzniosło złośliwym. Chełpi się tryumfami nad kobietami, krzyczy nieprzyzwojnie; jego skargi na brak uznania stają się małostkowe, jego sądy ryczałtowe (o Kancie i Ibsenie) niczem nie dadzą się obronić, jego rozwodzenie się nad kuchnią i kwestyami higieny świadczą, że sprawy te leżą mocno na sercu... długoletniemu pacjentowi. Tempo jego myśli jest takie wichrowe, że musiałoby rozszarpać najzdrowsze nerwy, gdyby nie to, że... niewiele już miały do stracenia. Demon tu gna, ale niezawodnie w obłąd.

Tymczasem potężny intelekt pracuje i skry dokoła siebie. Oślepiające czasem biją stąd promienie. Przechodzi filozof po kolei całą drogę swego rozwoju, określa jej logikę, konieczność, punkta wytyczne. Siła aforystyczna, z jaką ujmuje myśli swe zasadnicze, przewyższa nieraz lapidarność i potęgę Zarathustry. „Zrozumianoż — streszcza na końcu książki całą treść swej myśli. — „Dyonizos przeciw Ukrzyżowanemu“... Tem jednym zdaniem wyraża całe tomy. — Albo: „Jestem zbyt ciekawy, zbyt uprawniony do pytania, zbyt zuchwały, bym miał ścierpieć prostacką odpowiedź pięścią. Bóg jest prostacką odpowiedzią pięścią: „nie wolno wam myśleć!“ Trzeba przemyśleć te dwa zdania... Jak wspaniałym jest opis stanu natchnienia (str. 189). Zasadniczym dlań jest pogląd na to, co nazywa instynktem schludności... „Najgłębsze wnętrze, jelita każdej duszy fizyologicznie odczuwam — węższe... Ta wrażliwość moja posiada macki psychologiczne, któremi każdej tajemnicy dotykam, w palce ujmuje: wiele ukrytego brudu na dnie pewnych natur, może z zepsutej krwi wynikającego, lecz pobielonego przez wychowanie, uświadamia mi się już prawie za pierwszym dotknięciem“. Z tej niejako fizyologicznej potrzeby schludności (charakteru) wynika konsekwentnie pogląd na moralność, którą on nazywa chrześcijańską, a która właściwie jest moralnością słabych, pomagających wzajemnie ukrywać swą słabość pod płaszczykiem dobroci. Nienawidzi Nietzsche tej dobroci i na odwróceniu się od niej polega jej immoralizm. „Ludzie dobrzy nie mówią nigdy prawdy“. Na specjalną uwagę zasługują sądy, jakie Nietzsche wydaje tu o Niemcach. Są one

najwyższym potępieniem: pogardą i nienawiścią. W uczuciach tych dla swoich ziomków jest niewyczerpany. „Wierzę tylko w wykształcenie francuskie i uważam wszystko, co poza tem w Europie. zwie się wykształceniem, za nieporozumienie, nie mówiąc już o wykształceniu niemieckiem.“ Wyjątki uznaje rzadkie. „Najwyższe pojęcie o liryku dał mi Henryk Heine. Napróżno przez wszystkie wieki szukam muzyki równie słodkiej i namiętnej“... Odmawia Niemcom nawet tego, co stanowi, i słusznie, największą ich dumę. „Nigdy nie przypuszczę, by Niemiec mógł wiedzieć, co to muzyka. Ci, których niemieckimi zwie się muzykami, z największymi na czele, to cudzoziemcy: Słowianie, Kroaci, Włosi, Niderlandczycy lub Żydzi; w przeciwnym razie Niemcy starej daty, Niemcy wymarli, jak Henryk Schutz, Bach i Händel. Ja sam zawsze jeszcze nazbyt jestem Polakiem, by za Chopina nie oddać całej reszty muzyki: czynię z trzech powodów wyjątek dla Wagnera“... Swoją polskość (pochodzenie podobno od Nieckich, którzy za Leszczyńskiego mieli wyemigrować do Niemiec, co jeszcze nie jest udowodnione) akcentuje Nietzsche w tej książce niejednokrotnie. Osobisty ton czuć, gdy mówi o recenzentach niemieckich, o ignorancyi, z jaką ojczyzna doń się odnosiła; wstępnego dochodzi do tego stopnia, że Wagnera obrzydzili mu narodowcy; woła tedy: „Biedny Wagner! W cóż to wdepnął! Żeby był przecie pojechał przynajmniej między świnię! Lecz między Niemców!“ Osobiste te zemsty ustępują głębokiemu rozumowi, który uderza w istotę rzeczy, mówiąc, że Niemcy mają wszystko, „co jest dzisiaj, na sumieniu: tę najbardziej przeciwną kulturze chorobę i niedorzeczność, jaka istnieje, nacjonalizm, tę *névrose nationale*, na jaką Europa choruje“ — co prawda, datuje Nietzsche tę chorobę trochę zawcześnie. W ostatecznej pasyi wykrzykuje nareszcie: „Niemcy są *canaille* — ach, są tak dobroduszni... Obcowanie z Niemcami poniża“... „Niemcom brak całkowicie pojęcia, jakimi są prostakami, lecz to jest najwyższy stopień prostactwa, nie wstydzą się nawet być tylko Niemcami!“

I tak wśród konwulsyj uczuć obraca się całe to dzieło, pełne niezmiernie subtelnych auto-analiz i wogóle głębokich odcieni i dalekich rzutów obok małostkowości wprost niegodnych. *In nuce* zawiera ona całego Nietzschego: kto umie chodzić po szczytach, ma tutaj wszystkie wierzchołki jego myśli i wszystkie ich perspektywy. Ze chodzenie po szczytach, szczególnie Nietzschego, grozi mnóstwem niebezpieczeństw — rzecz prosta. Nie każdy też na to może się

ważyć. Filozof tragiczny może przemawiać tylko do dusz tragicznych. A i do tych mówi on wprost:

— „Nie jesteście Zarathustrą... kusicielem? Lecz cóż to on sam przecie mówi, gdy po raz pierwszy wraca w samotność swoją? Właśnie przeciwieństwo tego, coby jakiś „mędrzec“, „święty“, „zabawiciel świata“ i inny decadent rzekł w takim wypadku... Nietylko mówi on inaczej, on jest też inny...“

„Sam idę, uczniowie moi! I wy odejdźcie precz, i sami! Tak chce!“

„Idźcie ode mnie precz i brońcie się przeciw Zarathustrze! I lepiej jeszcze: wstyďte się jego! Może oszukał was. Człowiek poznający musi nietylko kochać wrogi swoje, musi też umieć nienawidzić druhów.“

Zła to odpłata nauczycielowi, gdy się zostaje zawsze jeno uczniem“.

Dla wyzwolenia siebie, nie dla pogrążenia swego ja, studyuje się Nietzschego zawsze — szczególnie zaś ostatni tom Nietzschego.

Wydanie tego tomu wieńczy całokształt edycji polskiej Nietzschego, podjętej z rzadką u nas starannością i wykonanej z kulturą niezwykłą. Przekład „Ecce homo“ wyszedł z pod pióra Leopolda Staffa. Kto pamięta, czego Nietzsche wymaga od stylu, ten z głęboką rozkoszą odnajdzie w języku polskim całą bogatą rytmikę oryginału. Można się co do szczegółów sprzeczać („Jak się staje -- kim się jest“ nie odtwarza, mojem zdaniem, dobrze niemieckiego „Wie man wird“) — całość ma „sumienie w uszach“ i wspaniałe, prawdziwie dyonizyjskie tempo. Wydanie niemieckie — dodam na końcu — kosztuje 20 marek; tłumaczenie polskie 1 rb. 50.

